

— Czy i teraz nie przyznasz się pan do tego, żeś zamordował panią Kronberg i okradł?

— Ja mordercą?! złodziejem?! Boże wielki! Czyście oszaleli? Ja złodziejem? ja mordercą? — krzyknął rozpaczliwie Ryszard. — Ależ zastanów się pan, pomyśl, czy to możliwe! Jestem niewinny! Boże najświętszy, ocal mnie, daj świadectwo niewinności, wskaż zbrodniarza! Mój sztylet tkwił w piersi ofiary! Jakim sposobem? Kto go dobył z mojego płaszcza?

— Skończmy już tę sprawę. Niema żadnej wątpliwości, że przed panem nikt nie był owego wieczora w domu pani Kronberg. Gdyby kto inny dopuścił się owej zbrodni, toć musiałby dostać się do przedpokoku, aby wyjąć pański sztylet z płaszcza; tego zaś nikt nie uczynił, bo gospodyni była cały czas w przedpokoju.

— A więc czerwona Maryna popełniła zbrodnię! — zawołała matka Ryszarda, jakby natchnieniem jakimś ożywiona.

— Proszę wybaczyć łaskawa pani, że się z tem nie zgodzę, bo zgodzić nie mogę. Jakżeż mogła wiedzieć gospodyni, że w płaszczu był sztylet? A czyż można przypuścić, aby ręka starej kobiety zdołała zadać cios tak silny, tak śmiertelny? Wreszcie nie podobna domyślić się powodu, dla którego owa sługa chciała swą panią pozbawić życia.

— A jednak mogłabym na to przysięgać! Miłość macierzyńska mie-
wa jasnowidzenia. Mordercą i złodziejem jest „czerwona Maryna“, powtarzam to wobec Boga i ludzi.

— Moja macocha poświadczy, że Ryszard prosił ją wczoraj wieczorem, aby zwróciła akt darowizny, który od ciotki otrzymała. Uczynił to z upoważnienia pani Kronberg — odezwała się Hania.

W tej chwili stanęła we drzwiach Klara w wykwintnym stroju podró-
żnym. Usunawszy z twarzy woalkę, spojrzała wyniosło na wszystkich. Po za nią ukazał się kamerdyner księcia, ale zaraz się cofnął zakłopotany, jakby chciał uniknąć spojrzeń, które się ku niemu zwróciły. Hania rzuciła się ku przybyłej i składając błagalnie ręce zaklinała ją o użyczenie Ryszardowi pomocy.

— Ocal go! ocal! chcą go uwięzić jako mordercę twej ciotki, a on przecież niewinny! Wszakże wczoraj rozmawiał z tobą — prosił...

— Jakto? co słyszę na Boga?! moja ciotka zamordowana? — krzyknęła Klara.

— Tak pani — rzekł komisarz — a na pana Adlersfelda pada silne podejrzenie, że jest sprawcą tej zbrodni. Czy pani nie mogłaby udzielić mi jałich wyjaśnień w tej sprawie?

Klara nie odpowiedziała. Przez kilka sekund wpatrywała się przenikliwym wzrokiem to w Hanię, to w Ryszarda. Złość i nienawiść kłębiły się w jej duszy, aż wylały się w słowach gwałtownych.

— Niegodziwy morderco mej ciotki! Splamiony jej krwią, chciałeś wczoraj wyłudzić u mnie akt darowizny, aby sobie łup zapewnić. A, rozumiem teraz! Kłamałeś, sobie mówiąc, że moja ciotka rzuciła w ogień wszystkie skrypta dłużne. Nie ona je w ogień rzuciła, ale pan to sam uczynił!

Hania, pełna rozpacz i oburzenia, zwróciwszy się do Klary, zawołała:

— Jak ty śmiesz nazywać go mordercą? kobieto! upamiętaj się! przecież to szaleństwo!

Potem, chwyciwszy Ryszarda za rękę, mówiła błagalnym głosem:

— Nie ukrywaj tajemnicy, powiedz wszystko. Niech ta kobieta się dowie, czym jest dla ciebie, niech się dowie, dlaczego Izabela Kronberg spaliła skrypta dłużne.

— Powiem wszystko — rzekł Ryszard, wysilając się, by mówić spokojnie — powiem krótko. Mój ojciec jest także ojcem Klary, a Izabela była jej matką. To mi wczoraj pani Kronberg wyznała. Uniesiona zemstą i nienawiścią wykupiła wszelkie skrypta dłużne, by nas zniszczyć, a obdarzyła aktem darowizny nabytego majątku swą córkę, Klarę. Gdy odezwało się w niej szlachetniejsze uczucie, cofnęła wszystko, nie chcąc, by siostra

wypędziła swego brata z rodzinnego gniazda i skazała go na kij żebraczy.

Przez chwilę trwało grobowe milczenie. Przerwała je Klara szyderczym śmiechem.

— A cóż to za nikczemne kłamstwo! — zawołała z oburzeniem. — Znieważasz pan nie tylko mnie, ale i ofiarę swej zbrodni i cześć własnego ojca.

— Mój syn powiedział prawdę — rzekła uroczyście matka Ryszarda.

Nie wierzę, odpowiedziała Klara. Niegodziwe baśnie, urojone po to, by ocaliły zbrodniarza. Mordercę mej ukochanej ciotki przeklinam i żądam dla niego kary Boskiej i ludzkiej.

— Kobieto bez serca — zawołała Hania z rozpaczą. Dlaczego chcesz gubić niewinnego, dlaczego, dlaczego ścigasz go nienawiścią?

— Dość tego, rzekł komisarz. Nie pora dociekać teraz tych spraw i tajemnic rodzinnych. Pannie Adlersfeld jesteś w tej chwili więźniem obwinionym o popełnienie morderstwa i rabunku. Biorę pana z sobą.



Stanął, spojrzał i zachwycił się widokiem uroczym...

Matka rzuciła się na szyję synowi i przyciskała go do piersi, a łez strumienie spływały z jej oczu na pochyloną głowę więźnia.

Przystąpili żandarmi.

— Oddajcie mi dziecko moje niewinne! wołała z rozpaczą i postępowała za synem — puście go — puście! To dziecko moje!

— Matko moja! matusiu moja najdroższa, uspokój się, miej ufność w Bogu! Bóg nas nie opuści, Bóg wykaże moją niewinność — szeptał Ryszard łkając i całując ręce matki.

Żandarmi wprowadzili Ryszarda — zaturkotał powóz, którym go odwieziono do więzienia — matka upadła u bramy domu zalana łzami.

Przed Hanią stała jeszcze Klara i znęcała się nad nią. Zimna, szyderska, demoniczna, syczała raczej, niż mówiła:

— Nie zobaczysz już ani ojca, ani kochanki! Tak! już nie masz nikogo, tylko nędza wyciągnie ku tobie skrzydła, obejmie cię, zdławi. Z tego dworu wyrzuci cię wkrótce następca ojca. Idź w świat, zarabiaj ciężko na chleb codzienny, wypieczony gagatku. Ja ci nic nie dam, rozumiesz, nie dam nic.

Hania nie odpowiedziała ani słowa. Ukłękła i łzami gorzkimi modliła się do Boga. Klara rzuciła na nią spojrzenie pełne nienawiści i dumy i odeszła. Przed domem czekał na nią kamerdyner księcia, aby jej towarzyszyć do rezydencji księżęcej.

Cisza nastała w nieszczęsnym domu. Hania zatopiona w modlitwie nie słyszała, jak się drzwi otworzyły. Wszedł ochmistrz dworu Wurm i stanął z nienacka przy Hani. Spostrzegłszy jego twarz wyuzdaną, krzyknęła z przerażenia.

Wzgardzona miłość.

Cisza wieczorna ogarniała zamek książęcy. po kruzgankach ciemniało coraz bardziej; ponura poezya nocy zaczęła przemawiać ze sklepień zamkowych, z kolumn stojących rzędem na straży kruzganków. Światła lamp rozpyływały się i tonęły we falach ciemności. Kobieta, o postaci kształtnej, powabnej, dystygowanej, okryta welonem, szła ostrożnie korytarzem. Niekiedy zatrzymywała się nadsłuchując, czy kto nie idzie. Nie potrzebna była ostrożność, bo w tej części zamku nikt nie mieszkał, nikt tedy nie chodził. Na końcu korytarza stanęła u wysokich drzwi, otworzyła je i weszła do zimowego ogrodu zamkowego. Olbrzymia sala pokryta szklanym dachem, ze szklaną ścianą od południa, pusta była i cicha. Tylko palmy wiodły tam z sobą rozmowę, tylko kwiaty śpiące w ogromnych wazonach, marzyły o swej uroczej piękności i tylko księżyc ciekawym wdzierał się srebrzystym blaskiem i przerywał sen kwiatów.

Owa postać kobieca знаła tu przejścia wszelakie, bo śmiało przesuwiała się pomiędzy krzewy i zdążała ku krańcowi sali. Tam była sztuczna grotta, oddzielona od sali piękną jedwabną zasłoną. Kobieca postać weszła do grotty i zasunęła szczerlnie zasłonę. Ponętnie przyćmione światło różowej lampy tworzyło półcień, układało myśli do marzeń, uczucia do miłości, a oświełwszy przybyłą kobietę, powiedział jej musiało: jesteś piękna.

— A więc tu będzie czekał na Klarę — rozmyślała przybyła. Nieoceniony ten kamerdyner księcia; jak to łatwo kupił u niego tajemnicę. Kupiłam ją by przecież dostać się do serca Ferdynanda. On musi być moim; ja go wydrę tej awanturnicy. Byłoby dla mnie największym upokorzeniem, gdyby dla mnie hrabianki Landenberg nie poświęcił aktorki. Dziś rozstrzygną się losy. Zwyciężyć muszę, albo zginąć. Więc tu jest świątynia miłości, w której ta awanturnica Klara miewa schadzki z księciem?

Rozejrzała się dokoła. Było tu uroczo. Sklepienia i ściany były nasładowaniem skał. Lekko rzeźbione, wyłożone krzeselka i stół stały na uboczu, w głębi biały marmurowy amor, a u stóp jego miękkie, kobiercami okryte szezlongi.

Hrabianka Landenberg zdjęła welon, ułożyła się na szezlongu i tłumila niespokojne bicie serca, a myśl jej skupiała się około znienawidzonej rywalki i ukochanego księcia. Czy zwycięży, czy dozna klęski? Słucha, serce jej bije niespokojniej jeszcze, bo słysząc szmer, ktoś się zbliża, rozsuwa się zasłona, książę Ferdynand wszedł cicho, ostrożnie. Udała, że śpi.

Stanął, spojrzał i zachwycił się widokiem uroczym postaci kobiecej. Głowę miała ułożoną w cieniu tak, że jej dokładnie zobaczyć nie mógł.

— Śpi — szepnął zachwycony. Pochylił się nad leżącą, objął ją namiętnie i gorącymi pocałunkami rozbudzał.

— O moja ty droga, moja ty jedyna, ty moje bóstwo, jakże jestem szczęśliwy, że mogę oddychać twoim oddechem, że mogę ssać miłość z ust twoich, że...

— Książę! jakże mnie przeraziłeś — odezwała się hrabianka, jakby zbudzona z długiego snu.

Książę Ferdynand odskoczył, jakby przerażony zjawieniem się jakiego widma.

C. d. n.